

Wspomnienie gorola

15 czerwca 2014

Gorolem się człowiek rodzi, a potem się nim staje. Stałem się więc gorolem lądując wrześniowym rankiem 1978 r na dworcu w Katowicach. Kilka godzin wcześniej się nawywijało w Namysłowie, tamtejszy szeryf odprowadził nas na dworzec kolejowy wsadzając do pierwszego pociągu i ekspediując raz na zawsze z północnej Opolszczyzny...

Ranek z kacem w Katowicach nie należał do przyjemnych. Z tłumu wyłowił nas jakiś facet po czterdziestce, rzeczowo zagadując: a macie gdzie spać, a chcecie zarobić duże pieniądze, a nie boicie się pracy na grubie... Myśleliśmy, że to po prostu pedał, a gość był werbownikiem. Zanim kac i zmęczenie po podróży minęło, podpisaliśmy stosowne papierki, zrobiliśmy jakieś badania lekarskie i staliśmy się pracownikami KWK „Staszic”. Następnego dnia w czerwonym kasku (kolor dla początkujących, nazywanych od tego pomidorami) zjechałem windą na poziom 500 m pod ziemią.

Było, że tak powiem, ciemno, duszno i parno. Każda praca fizyczna na początku wydaje się przekichana, potem się człowiek przyzwyczaja. Tak było i tu. Jak się nauczyło oddychać, oswoiło z ciemnością, przyzwyczało do temperatury, to się już mogło machać przez kilka godzin „sercówą” (łopatą) wrzucając węgiel na taśmę, lub nosić 40-50 kg części szkieletu obudowy. Praca jest pracą; po pewnym czasie człowiek wpada w kierat systemu czterobrygadowego, zapomina kiedy piątek, kiedy świętek, a harmonogram dnia porządkuje kolejność zmiany (ranek, popołudnie, nocka). Mieszkaliśmy w hotelu robotniczym na skraju Giszowca. Szło się pięćset metrów do kopalni, odbierało numerek... Potem w wielkiej hali ściągało się podwieszone na drucie, przepocone i brudne ubranie, zawijało onuce pod gumowce, odbierało lampkę z akumulatorem. Z kranów można było nalać sobie wody sodowej lub rozwodnionego mleka; można też było przełknąć zupe „wysokokaloryczną” z wkładką

przypominająca strzępy kurczaka rozwalonego granatem. Po pracy wciągało się łachy na drut, pod prysznicem zmywało kilogramy czarnego pyłu; łykało zupe i szło na piwo...W odróżnieniu od Częstochowy, na Giszowcu piwa za Gierka nie brakowało.

Brygadzysta był „hanysem” rodowitym Ślązakiem; mały, chudy jak szczapa, upierdliwy jak giez. Zyskał więc ksywę „Pstrowski”; wkurzał się na to niebotycznie: „pstrowski” to gorszy epitet od normalnego penisa. Penis, sam przez się, krzywdy nie robi; prawdziwy Pstrowski dla idei lub dla pieniędzy niszczył ludzi gnając ich do przodka zanim opadły pyły po wybuchu. „Hanyś” w brygadzie miałem jeszcze trzech; na szczęście żaden z nich na brzydkie określenie nie zasłużył. Raczej jak to Ślązacy, ciepłe kluchy: praca, dom, po trzecim piwie uciekają, by im baba po łbie nie dała.

Z hanyśami problem był na Giszowcu. Albo raczej z nami „gorolami”; bo w końcu my byliśmy tu gośćmi. Hotel od starego osiedla Gischego rozdzielało osiedle wieżowców przypominające stacje na Księżycu. Osiedle było jeszcze terenem neutralnym, jak się weszło na stary Giszowiec naturalnym było dostać w zęby. Trzeba to zrozumieć; sam bym, będąc tutejszym, walił po pyskach gorolską hołotę z hotelu. Na dole, w kopalni, ten podział zanikał. Nie było goroli i hanyśów, byli Murzyni i nadzorcy w białych kaskach. Pan był sztygarem, panie i panowie siedzieli w biurach; do robola zawsze mówiło się per ty, a gdy trzeba to jechało „po mamusi”... Byli panowie ludzcy: taki potrafił poklepać po ramieniu, zapytać „co tam k..., w domu”, można z nim było załatwić przyłożenie zmiany by mieć wolną niedzielę... I byli tacy, co budowali autorytet krzykiem od samego ranka. Zupełnie wredni to bywali „na górze”; na dół taki bał się zjeżdżać, bo w ciemności różnie bywa.

Różnice między gorolami a hanyśami malały w obliczu wspólnej niechęci do panów z biurowca. Gadki w przerwach pracy, czy przy piwie, też robiły swoje...Staraliśmy się zrozumieć co dla nich znaczy dom, heimat, gruba, nie dziwiło, że ich krewni są w Vaterlandzie, że w rodzinie był ktoś w Wehrmachcie, ktoś

inny trafił na Sybir lub do polskiego obozu. Gorole byli bardziej hardzi, bo nie mieli nic więcej do stracenia, prócz marzeń o mieszkaniu w bloku. Hanysów życie nauczyło pokory; oni musieli tu żyć, nie mieli swojej wsi, do której mogli wrócić z pieniędzmi odłożonymi na traktor.

Gorole – hanysy. Ten podział buzował podskórnie także w 1981 r. Z mojej perspektywy „Solidarność” na Śląsku budowali gorale. Zbyszek Kupisiewicz redaktor wydawanego na Hucie „Katowice” „Wolnego Związkowca” był z Przyrowa. Jego wujka Zygmunta Czajkowskiego zastrzelili w 1952 r funkcjonariusze UB; grobu do dziś nie odnaleziono. Szukając lepszego chleba, Zbyszek, trafił na wielką budowę pod Dąbrową Górniczą. Z pomorskiego na tą samą budowę przyjechał Andrzej Rozpłochowski, lider hutniczej „S”. Tadek Jedynak, który podpisał Porozumienie Jastrzębskie, urodził się pod Garwolinem (krewnych ma w Częstochowie), Leszek Waliszewski, szef Zarządu Regionu, był z Pomorza... To była moja perspektywa, tworzona osobistymi kontaktami. Region był podzielony do granic absurdu. Gdy odwiedziłem w Katowicach w biurze Zarządu Regionu Anię i Leszka Jeziornych, nie mogli mnie nawet herbatą poczęstować; oni byli z Tychów, a czajnik mieli „wrodzy” sąsiedzi z Jastrzębia. Ten podział miał, przede wszystkim, charakter terytorialny; region podzielony był na 7 MKS; każdy nie lubił każdego. Podział „gorole – hanysy” były mniej istotny; hanysy były w mniejszości, gorole gryzły się między sobą.

„Solidarność” na Górnym Śląsku władza odbierała jako osobistą zniewagę. Śląsk był „perła w koronie”, Polska stałą węglem i stalą. Jako początkujący górnik zarabiałem tyle ile mój ojciec, inżynier hutnik z kilkudziesięcioletnim stażem. Na mieszkanie w Częstochowie czekało się 25 lat, w Jastrzębiu 3-4 lata. Były specjalne przydziały deficytowych towarów; imponujące jakością domy wczasowe, w tym wymarzone wyjazdy do Bułgarii. „Solidarność” odebrano jako nieuzasadniony bunt robotli: „mieli wszystko, a jeszcze im się wolności zachciało”.

Zapomnieli o drobiazgu – każdy człowiek, nawet gorol, hanys i roboł ma pewna godność. Żadne pieniądze nie pokrywają upokorzenia jakie codziennie znosili ludzie, zjeżdżający ze mną „na dół”, tego „tykania”, drwiących wyzwisk, żarcików typu: „haruj, haruj, a ja ci w nagrodę żonkę pokryje”.

Bunt niewdzięcznych robołi tłumiono brutalnie. Nie tylko pod „Wujkiem” ale i w Jastrzębiu i w „moim” „Staszicu” użyto broni. Skala internowań była nieporównywalnie większa niż w reszcie Polski. Brano jak leci; wielu trafiało za kraty przez pomyłkę, bo mieli nazwiska podobne do liderów związkowych. Bito... To był wyróżnik „jakościowy”. W Częstochowie bicie zdarzało się sporadycznie, stosowano je gdy się ktoś ostrzej postawił... W katowickim areszcie to była norma; bito każdego, kto miał trafić pod celę. Bogdan Kopański, jako pracownik Uniwersytetu Śląskiego, uczył SB-ków, którzy mieli obowiązek zdobyć dyplom... w areszcie w nagrodę dostał od wychowanków kilka pałek. Najgorzej sponiewierali Tadeusza Arenta; ośmielił się w KWK Szczygłowice” wywieźć na taczkach towarzysza Mateńkę... Żebra połamali też innemu górnikowi, który ośmielił się zarzucić kłamstwo samemu Urbanowi (Urban opowiadał o nim jako o volksdojczu; w odpowiedzi dostał list o powstańczych tradycjach w rodzinie zwyzywanego górnika).

Ten terror powodował, że wielu z internowanych zdecydowało się na wyjazd.

Siedziałem ze Ślązakami w Zabrze i w Łupkowie... Odczucie było takie, że większość z nich ma dosyć, chce wyjechać... Wyrzucono ich z pracy, żony pozbawione były pomocy... Solidarność „na zewnątrz” pękała... „Byłem szefem komisji liczącej kilka tysięcy związkowców, a dziś ani jeden „ch...” nie poszedł do mojego domu, nie zapytał, czy dzieci mają co jeść” – takie też zwierzenia bywały. Część decydowała się na wyjazd do Niemiec (Vaterlandu), tam mieli rodziny, możliwość pomocy w pierwszym okresie. Nie była to jednak reguła: wyjeżdżali do Australii, Kanady, Stanów...

Wśród wyjeżdżających byli liderzy: Leszek Waliszewski, Andrzej Rozpłochowski... Nie było podziału; tak samo liczne były decyzje wśród hanysów jak i gorali. Jeden się wygłupił, mówił, że pieprzy Polskę, wróci tu na pancru z Bundeswehry... To mu innych Ślązak (chyba Tadek Arent) odpowiedział: prędzej w konserwie z tomatem, w paczce charytatywnej...

Wspomnienia mają to do siebie, że zaciera się klimat rzeczywisty. Byłem i jestem z Częstochowy. Śląsk to moje bliskie sąsiedztwo, tam mam rodzinę i przyjaciół; ale to tylko sąsiedztwo na które patrzy się z dystansu. Bywałem gorolem, pracowałem na Górnym Śląsku; ale też były to jedynie krótkie epizody. Nie jestem sędzią by sądzić, ani świadkiem by świadczyć; mogę mówić: nie wiem, nie znam się, nie rozumiem...

Trudno jednak zgodzić się z wizją, że 13 grudnia Polska wydała wojnę Śląskowi. To co: gorole w mundurach ZOMO bili hanysów... Przecież pod „Wujkiem” zginęli gorole... swoi do swoich strzelali... Nie róbmy podział „narodowościowych” tam, gdzie ich nie było. Nie wpisujemy zbyt łatwo historycznych klisz. Czy los rodziny gorala Zbyszka Kupisiewicza był tak różny od losów rodzin śląskich po 1945 r.? Totalitaryzm instrumentalnie traktował sentymenty narodowościowe, korzystał z nich by mieć narzędzia do niewolenia jednych ludzi z pomocą drugich. Totalitaryzm nie opierał się na „narodzie panów”, lecz z każdego narodu czynił niewolników ustanawiając własną „warstwę panującą”. Nie dajmy się wodzić na pokuszenie odreagowując ból wspomnień z pomocą narodowej kliszy. W ostatecznym bowiem rachunku, za czyny dobre lub złe, odpowiada indywidualny człowiek, nie jakaś zbiorowość. Zbiorowość nie ma sumienia, człowiek (przynajmniej niektórzy) takowe posiada.

Autor: Jarosław Kapsa

Źródło: [Fundacja Wolność i Pokój](#)